



Na zdjęciu: Teresa Sawicka (Anna Livia) i Zbigniew Górski (Shem).
Fot. Jan Bortkiewicz

„Mówi mi wszystko o Annie Livi”. Mów mi...

Dwie praczki, które na naszych oczach dożyły się na świat z białych kokonów, kreatorki i córki Anny Livi, noszące ją w sobie, ale i odrębne, wcielające ten archetyp, ale i czujące jego osobność nadprzyrodzoną, owe dwie proste kobiety, wulgarnichy i poetki, wzniosłice i wycieruchy inicjują ten przedziwny poemat sceniczny, legendę o obiegu życia, bez początku i końca, w którym „wszystko co było jest, a wszystko co jest, będzie”, hymn o narodzinach i śmierci, o miłości i cierpieniu, o paradoksach życia, w którym sprzeczności się dopełniają, a na iskrzących stykach staje się to co prawdziwe, autentyczne, nasze, człowiecze...

Dziwny to poemat, w którym potoczna wulgarność nabiera czystości, wymiaru poezji, w którym miesza się uwznioślenie i upodlenie, w którym jakby zawieszonemu podlegał czas, moralność, potoczna normalność. Zmienia się nawet język, którym nauczyliśmy się porozumiewać, szybko uczymy się nowego, odwołującego się jakby do podświadomości, chwytamy go intuicyjnie — jak być może robią to małe dzieci — jeszcze nie rozumiejące, a już czujące słowa. A nad wszystkim obejmuje władzę Anna Livia, bogini śmierci, miłości, całej radości i rozpaczliwego świata, archetyp kobiecości i symbol witalności. Anna Livia — przekazicielka życia...

Idziemy za nią, najpierw jak za boginią, co się z życiodajnej wody poczęła, „włosom swym dała wodospadość faliście w kretych splotach do stóp”, wieniec uplotu z „łakotrawy i rzekoraku, z sitowia i wodorostów i z opadłych smutków wierzby plączącej”, potem za kobietą w Molly Bloom ucieleśnioną, jedną z tych, które „walczą miłując, miłując całując,

spotkanie z teatrem

ANNA LIVIA WSZECHOBECNA

całując, kłając, kłając wężąc, wężąc śmiejąc się, śmiejąc się nienawidząc, nienawidząc myśląc, myśląc czując, czując kusząc, kusząc nadstawiając, nadstawiając czekając, czekając biorąc, biorąc dziękując, dziękując szukając...”, wreszcie za kaptanką życia, poetką litanią w modły nas wprowadzającą...

Po drodze zderzamy się z życiem, tym realnym swojskim, naszym — bloomowym, w którym śmierć sąsiaduje z burdelem. Pierzemy z praczkami jego brudy. Czujemy z nimi jak „zmarszczki i drża w garście weszły od wetawania plam po jego stochodach”. Nurzamy się w tym po obrzydzeniu i zachwyty. Jedno tak bliskie drugiego.

Joyce, wciąż dla nas jeszcze trudny, dziwny, nie całkiem zrozumiały twórca, którego staramy się rozgryźć intelektem, w „Annie Livi” za przyczyną teatru, ujawnia nam się trochę inaczej, chłoniemy go zmysłami, podświadomością, czuciem. A przynajmniej mamy taką możliwość. Jest to Joyce, z konieczności w warstwie literackiej skondensowany, drastycznie skrócony, ale dopełniony o sceniczne obrazy i metafory z jego dzieł wy-

wiedzione. Ten sam, czy inny? Ten sam, inaczej tylko doświadczony przez nas.

Sztuka „Anna Livia” jest szczególnym dziełem. Jest wywiedziona z Joyce’a, to znaczy z „Finnegans Wake”, uzupełniona motywami z „Uliksa”, „Portretu artysty z czasów młodości” i wierszami, nie jest jednak adaptacją żadnego z wątków powieści, uzyskała samodzielną strukturę, nadaną jej przez Stomczyńskiego. Jest to utwór, który gdyby przeskoczyć bariery czasu dzielące dwu wielkich i tak bliskich sobie ludzi, należałoby nazwać dziełem spółki autorskiej Joyce-Stomczyński. W każdym razie w naszym obszarze językowo-

kulturowym tylko dzięki takiej ponadczasowej spółce to dzieło mogło zaistnieć. By zaś „Anna Livia” mogła zaistnieć na scenie wrocławskiego Teatru Współczesnego Stomczyński musiał m.in. wymyślić niestniejący język, który — bliski nam fonetycznie — niesie i konkretne skojarzenia intelektualne, i półświadome przeżycia treści niewyrażalnych językowo, potrafi nas bawić i komunikować zarazem. To z kolei jest sukcesem teatru, bo bez jego pośrednictwa to, co określiliśmy tu scenariuszem, dla większości czytelników,

nawet tych z uniwersyteckimi dyplomami, byłoby zupełnie nieklarowne, brzmiało we fragmentach efektownie, lecz „niezrozumiale”, oporne interpretacji i innym zabiegom intelektualnym.

Skoro zaś o teatrze, jednym z nich, nie wdając się w porównywanie zasług, bo każdy ma innego rodzaju, a ważenie ich nie wydaje mi się zbyt sensownym przedsięwzięciem, wymienię pragnę nazwiska: Kazimierza Brauna (reżyser), Zbigniewa Cynkutisa (współpraca reżyserska), Zbigniewa Karneckiego (muzyka), Zofii de Inez-Lewczuk (scenografia) i Teresy Sawickiej (Anna Livia). Coś, co przesądza o ich sukcesie, to znakomite porozumienie, współbrzmienie propozycji. Dla przykładu: piękna zbiorowa „litania” w końcowej partii przedstawienia to rezultat świetnego zespoleństwa zespołu aktorskiego (z wiodącą rolą Teresy Sawickiej) z muzyką. Z kolei cała sceneria tego fragmentu, jak i pozostałych, została wręcz idealnie utrafiła przez panią de Inez-Lewczuk: kolorystycznie, kostiumowo, wystrojem plastycznym przestrzeni, rekwizytem wielofunkcyjnym.

Imponuje mi ta praca teatralna. Już w stadium pierwotnym zapowiadała się niecodziennie. Niecodziennie bowiem się zdarza, by autor trzykrotnie pisał niemal od nowa utwór (a tyle było wersji „Anny Livi”). Nieczęsto się zdarza by przedstawienie powstawało tak długo, jak to. Ale też nieczęsto pojawia się tak fascynujący efekt końcowy. Stomczyński, Braun, Karnecki, Cynkutis już swoje komplementy w życiu zebrali (i zbiorą zapewne). Specjalnie chciałbym poświęcić Teresie Sawickiej, młodej aktorce, której wrocławski debiut prawdziwie mi zaimponował. Wypchnęła całą sobą ten spektakl. Nawet w scenach, w których aktorka schodziła na drugi plan, niemal fizycznie znikła, jej obecność trwała, była ważna, istotna. W sytuacjach, w których aktor-rutyniarz często udaje, że jeszcze

jest na scenie, a naprawdę zerka w kulisy, by mu podpowiedziano jaki jest wynik meczu Czechosłowacja — RFN, ona jest, jest tak, że czują to partnerzy, czują widzowie, jest tak ludzko, całą sobą, że czuje się to emocjonalnie, że aż zazdrości się Górskiemu, dla którego (a raczej postaci Shema) ona jest tak intensywnie. Gdybym miał być szczery do końca, musiałbym — na podstawie innych doświadczeń — wyrazić zdziwienie, jak uchowała się, jak zachowywała tak dużą wrażliwość i świeżość, i to co własne, mimo że kształciła się w szkole aktorskiej. A może — powinienem to napisać w nawiasie — te szkoły nie są tak złe, jak mi się ostatnio myślało? Wracając do rzeczy — objawiła nam się osobowość aktorska, co z rzadka, ale zawsze z satysfakcją stwierdzam.

Z satysfakcją również odbieram aktorskie wcielenia Barbary Sokołowskiej i Marleny Miłwaj (Praczki), Pawła Nowisza (Sham) i Zbigniewa Górskiego (Shem), jak również wykonawców ról drugoplanowych, lecz w tym spektaklu znaczących: Janusza Obidowicza, Marii Góreckiej, Jadwigi Hańskiej, Bolesława Abarta, Jana Błęckiego, Stanisława Jaskułki, Edwina Petrykata, Zdzisława Sośnierz i kilku anonimowych statystek.

Po „Białym małżeństwie”, przypuszczam, a teraz już myślę, że we Wrocławiu znowu mamy dwa teatry.

TADEUSZ BUSKI

Teatr Współczesny we Wrocławiu: „Anna Livia” Macieja Stomczyńskiego na podstawie dzieł Jamesa Joyce’a. Reżyseria Andrzej Braun. Współpraca reżyserska: Zbigniew Cynkutis. Scenografia: Zofia de Inez-Lewczuk. Muzyka: Zbigniew Karnecki. Choreografia: Waldemar Fogiel. Prapremiera: 19 czerwca 1976 r.